

KATARZYNA RYRYCH

**DRAKA
NA
ANTYPODACH**



Projekt okładki: Sabina Bauman
Ilustracja na okładce: Katarzyna Kołodziej
Projekt logo serii: Marta Gierych
Wydawczyni prowadząca serię: Magdalena Gredecka
Opieka redakcyjna: Agnieszka Trzebska-Cwalina
Korekta: Maria Bogucka, Małgorzata Podlewska
Koordynacja produkcji: Jolanta Powierża
Skład i łamanie: GJ-studio Grażyna Janecka

© Katarzyna Ryrych

© HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2024

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem
reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym
do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
ul. Domaniewska 34A, 02-672 Warszawa
www.HarperKids.pl

ISBN 978-83-276-8708-1
SCPOW08_01

Druk: Polska

KATARZYNA RYRYCH



Harperkids

1

Myślę, że gdyby nasze Miasteczko leżało trochę dalej od tego Naprawdę Wielkiego Miasta, to pewnie miałyby szansę być JAKIEŚ. To znaczy coś by się tu działo, ludziom chciałoby się czegoś, a tak każdy tłumaczy, że kino to w zasadzie niepotrzebne, bo można wskoczyć do busa i za pół godziny usiąść przed ekranem, na dodatek z colą i popcornem, jak w Ameryce. Że nawet gdyby wybudowano galerię handlową, to ludzie i tak jeździliby do Naprawdę Wielkiego Miasta, bo to okazja, żeby ruszyć się z domu. Nikt nie chciałby grać w prowincjonalnym teatrze, choć przed wojną działał tutaj jeden, co prawda amatorski, ale repertuar mieli ambitny. I tak można by wyliczać bez końca. Zrobiłaby się z tego długa lista tego, czego brak.

A tak mamy tylko basen, dom kultury, gdzie na zajęcia chodzą maluchy (i Art, ale o nim później)

oraz park, do którego strach się wybrać na spacer, bo ławki zajmuje element, czyli ci wszyscy, którym naprawdę już nic się nie chce.

Kiedyś były jakieś Wielkie Plany, żeby zamienić nasze Miasteczko w przyjazne miejsce, ale chyba wszystkich dotknął wielki bezwład.

Gdy przez stację przejeżdża pociąg, w prawie każdym domu słychać dudnienie, zupełnie jakby ktoś walił młotem, i gwizd lokomotywy, co sprawia, że człowiek ma ochotę wybiec z domu i wskoczyć do wagonu. Żeby znaleźć się gdzieś indziej.

I tak żyjemy tutaj w cieniu rzucanym przez Naprawdę Wielkie Miasto, trochę niewidoczni, trochę zakompleksieni, zupełnie jakby wyszał nas jakiś wampir, czyli wąpierz, jak mawiała prababcia.

Kiedy byłem mały, lubiłem słuchać opowiadanych przez nią historii, ale potem tak się bałem, że kilka razy zdarzyło mi się zsikać w łóżko, bo łazienka w naszym domu jest na parterze, a mój pokój na piętrze. I żeby dojść do toalety, musiałem wyjść na ciemny korytarz, wymacać na ścianie włącznik i zejść po i tak pogrążonych w mroku schodach, gdzie mogło czaić się wszystko.

Ale wracajmy do Miasteczka.

Tętni życiem tylko rano, kiedy dzieciaki idą do podstawówki, rodzice do pracy, a młodzież na stację, żeby dojechać do szkół. Tych w Mieście. Drugi taki moment, gdy na ulicach widać ludzi, to popołudnie, bo wtedy wraca się do domu. A wieczorem – pusto. Postapokalipsa czy coś w tym sensie. Tylko w oknach migają niebieskie ekrany, bo dorośli oglądają telewizję, a ci w moim wieku siedzą przy komputerach.

Jesienią powietrze pachnie dymem, bo wszyscy palą w piecach. Zapach miesza się z wilgotną mgłą i tworzy taką charakterystyczną mieszankę, o której Draka mówi: „Kanał numer pięć”.

Ale ja ten zapach lubię. Jest taki stąd i nie ma go w żadnym innym miejscu na świecie. Najbardziej czuć go pod sklepem, może dlatego, że sklep znajduje się niżej i tam to wszystko zwiewa wiatr.

Z tego powodu lubię jechać po jakieś drobne zakupy właśnie wieczorem, kiedy matka po pracy w warsztacie zmienia się w kobietę, czyli wkłada spódnice, maluje paznokcie i robi makijaż.

– Kostek – prosi czasami – skocz po mleko i kilka bułek, tylko nie jedź ulicą.

Cały szczęśliwy wypadam z domu, wyciągam rower i jadę, oczywiście wcale nie po chodniku.

Ulice o tej porze są puste. Musiałoby się nie wiadomo co wydarzyć, żeby pojawił się jakiś samochód, i na dodatek jechał z niedozwoloną prędkością.

Wtedy zamieniam się w motocyklistę, Anioła Piekieł, a mój rower przemienia się w harleya. Wybieram taką trasę, żeby nawdychać się tego zapachu i po drodze przemknąć przez Śmigle, obok domu Draki, która jak zawsze udaje, że odrabia lekcje, a tak naprawdę pisze książkę o inwazji obcych. Już drugi rok, dla ścisłości. I albo nie może jej skończyć, bo cierpi na syndrom białej kartki, albo ma za dużo pomysłów.

Wracam okrężną drogą przez osiedle zwane Kolonią, gdzie w rzędzie stoją niewielkie domki. Do każdego z nich przylega coś na kształt szopy. Niektóre zostały przerobione na garaże, inne na składziki albo przydomowe warsztaty. Tylko szopa na podwórku Arta nosi dumne miano Pracowni, gdzie stoją prawdziwe koło garncarskie i piec do wypalania gliny.

Właśnie tu Art ulepił kilka glinianych kup, pomalował na brązowo i wypalił w piecu tak, że wyglądały jak prawdziwe. Potem porozkładaliśmy je w parku na środku chodnika. Gdyby nie takie pomysły, w Miasteczku byłyby naprawdę nudno.

A tak mieszkańcy mają o czym gadać. I to dzięki nam, bo działamy w zorganizowanej grupie – ja, Draka, Art i (jeśli akurat nie ma focha) Policjanna.

Jestem pewien, że gdziekolwiek rzuci mnie los, cokolwiek zaoferuje mi życie, zawsze będę myślał o tym moim miejscu na świecie, które wcale nie było dla mnie ani szare, ani nudne. A gdy ktoś mnie zapyta, co najlepiej pamiętam, to odpowiem bez wahania: tamten schyłek lata. Czas, kiedy wszystko się zmieniło.

Zacząło się na początku sierpnia, kiedy Draka zaprosiła nas do siebie, żebyśmy oglądali spadające gwiazdy. Bo sierpień to taki szczególny miesiąc, kiedy lecą Perseidy. Gdyby komuś się wydawało, że łatwo zobaczyć taką spadającą gwiazdę, to bardzo by się mylił. Często siedzi się długo z zadartą głową i gapi się w niebo. Człowiekowi cierpną szyja i ramiona, a tu nic się nie dzieje. Ale czasami można zobaczyć nawet kilka.

Tę dostrzegliśmy natychmiast, bo też trudno byłoby coś takiego przegapić. Była ogromna, przecięła niebo ze wschodu na zachód i jeszcze ciągnęła się za nią świetlista smuga, jakby niebo się zapieniło.

– Ożeż... – wyszeptała Draka.

A potem mocno zacisnęła powieki i skapnąłem się, że pomyślała życzenie.

Moje nie było specjalnie skomplikowane. Chciałem, żebyśmy mogli wrócić do normalnej nauki, bo miałem wyżej gitary uczenia się online. No i żeby... Ale o tym potem.

To była jedyna niedogodność tamtego czasu. W Miasteczku mało kto dbał o to, aby nosić maseczki, ale, o dziwo, i tak nikt nie złapał wirusa. Może byliśmy odporni, a może nikt go do nas nie przywłókł. W czasie roku szkolnego piekielnie brakowało mi przerw, podczas których gadaliśmy, wspólnych powrotów ze szkoły, i nawet za facetem od matmy też tęskniłem, chociaż nigdy nie był specjalnie sympatyczny.

Choć były też plusy tej sytuacji. Gdy porzuciliśmy kwizy, testy i inne wynalazki, spotykaliśmy się i robiliśmy różne dziwne rzeczy, jakie w normalnych warunkach nie przyszłyby nam do głowy.

Ktoregoś wieczoru wymyśliliśmy grę Wuhan. Tak się nazywała. Mówiliśmy: „Zagramy w Wuhan” albo „Siadamy do wirusa”. W sumie to był raczej niesmaczny żart, bo walutą był papier

toaletowy i można było umrzeć, gdy stanęło się na pole, na którym Art narysował trumienkę, ale to nie przeszkadzało nam śmiać się do rozpuku.

Aż pewnego wieczoru do rodziców Arta przyszli znajomi i pożyczyci od nas tę grę. Bawili się chyba równie dobrze jak my. A może nawet lepiej. Mało brakowało, żeby nam ją zabrali.

Ale mimo to chciałem, aby wróciły normalne lekcje. Żeby nas upominali, wpisywali uwagi, sprawdzali zadania. Rozpaczliwie potrzebowałem, żeby matematyk mnie zwymyślał, oświadczył, że jestem leniem, a babka od polskiego wyśmiała moje wypracowanie.

No i całą nadzieję pokładałem w tej gwiazdzie, która spadła. Wiem, że to wszystko to po prostu były bajdy, ale należało w coś wierzyć.

Nasze Miasteczko ciągnie się od jednego wzgórza, zwanego Trupielcem, bo podobno to nie jest takie zwyczajne wzgórze, tylko zbiorowa mogiła tych, którzy dawno temu poumierali na jakąś zarazę, do drugiego, zwanego Śmigłem, bo stoi tam kilka wiatraków. A pomiędzy tymi punktami znajdują się domy. Niektóre całkiem stare, pamiętające jeszcze bardzo odległe czasy, inne trochę nowsze,

ale takich naj naj najnowszych nie ma. Bo kto chciałby tutaj mieszkać.

Kiedyś mówili, że nasze Miasteczko może się zamienić w sypialnię dla Naprawdę Wielkiego Miasta, ale pomysł upadł, bo to trochę daleko, no i deweloperzy wykupili inne tereny.

Szkoda, bo już nawet rozpisano konkurs na nazwę tego nowego osiedla przy Trupielcu. Zrobili nam jego szkolną wersję, a nasze nazwy były naprawdę ciekawe, ale chyba nikt się na nich nie poznał. Osiedle pod Trupkiem albo Światłość wiekuista to był standard, ale wszystkich przebił Art. Ze swoim Zadżumionym.

– Gdzie mieszkasz?

– Na Zadżumionym.

Bo ta zaraza to podobno była dżuma. I na Trupielec zwozili zmarłych z całej okolicy. W sumie dobra myśl, żeby wszyscy leżeli w jednym miejscu.

W lesie przy Trupielcu rosły zawsze najdorodniejsze jagody, ale u nas nikt ich nie zbierał, no chyba że po to, by sprzedawać je w Mieście.

„Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” – tak mówi nasza komendant policji. Nie, nie przesłyszeliście się. To, że Miasteczko jest niewielkie, nie znaczy, że jest nienowoczesne. Policjanna, córka

naszej pani komendant, bardzo się tym faktem szczyci. No bo w którym innym mieście komendantem policji jest kobieta?

Oczywiście Policjanna wkurza się o swoje przezwisko, ale któraś z dziewczyn czytała taką książkę, *Pollyanna*, i ktoś wpadł na pomysł, żeby to trochę przerobić.

No to chyba wreszcie nadszedł czas, żeby przedstawić ludzi z naszej paczki. Po pierwsze, Policjanna, o której już wspomniałem. To osoba tak skomplikowana, że napisanie czegoś konkretnego na jej temat graniczy z cudem.

Art naprawdę ma na imię Artek, ale to pasuje do jego zainteresowań. Zresztą rodzice Arta biorą jakieś stypendium dla ludzi uprawiających ginące zawody. Jego ojciec lepi garnki, a matka wyplata kosze z wikliny. Gdyby nie to, pewnie ledwo wiązałyby koniec z końcem, jak to artyści. Natomiast Art ma talent do karykatur i potrafi z każdego wydobyć to, co jest śmieszne, choć czasami robi to niedelikatnie.

Draka mieszka na tak zwanych Śmiglach, czyli w okolicy wiatraków, i samotnie wychowuje ojca. Trudno to lepiej ująć, bo ojciec Draki to okropna

ciamajda. Nie pije piwa, co wytykają mu sąsiedzi, nie ogląda transmisji z meczów ani skoków narciarskich, tylko zajmuje się językami starożytnymi. Kiedy jedzie na jakąś konferencję, to Draka pakuje mu walizkę i pilnuje, żeby miał skarpetki do pary, bo gdyby wystąpił w dwu różnych (choć teraz tak się nosi), to byłaby kompromitacja.

Czegoś takiego nie wytrzymała matka Draki, dlatego pewnego dnia wyjechała i już nie wróciła. Draka nie pamięta tego za dobrze. Po prostu matka zniknęła, a ojciec był takim ciamajdą, że nawet się nie załamał. „Bo do tego też trzeba mieć jaja”, jak to ujęła babcia Draki. Ale poza tym ta ciamajdowatość uchodzi ojcu Draki na sucho, bo jest – jak stwierdziła Policjanna – piekielnie przystojny. Tylko co z tego. Każda kobieta chce się na kimś oprzeć, a życie, jak wiadomo, nie składa się z recytacji poezji perskiej czy indyjskiej ani gruntownej znajomości dzieł Szekspira.

Wracając do Draki. Naprawdę ma na imię Doro-
ta i traktuje życie bardzo serio. Gdyby nie to, byłoby z nimi raczej kiepsko. Draka sprzęta, robi zakupy i gotuje.

Wreszcie ja, czyli Kostek, przez złośliwych zwany Krostkiem. Nie dlatego, że jestem obsypany

pryszczami, tylko z powodu nazwiska. Kostek Rostkowski.

Gdy Draka zauważyła, że było mi przykro, kiedy w szkole nazywano mnie Krostkiem, wytłumaczyła temu i owemu ręcznie, że tak nie wolno. Bo Draka nie patyczkuje się z nikim. Dlatego jest Draką.

Ale wracając do mnie. Bo o mnie też coś powinniście wiedzieć, prawda?

Mój tata był kierowcą rajdowym, a mama jego pilotem, mechanikiem i największą miłością, zaraz po samochodach. Z tego powodu pojawiłem się na świecie. Dokładnie w dniu, w którym samochód taty wypadł na łuku, dachował i... Naprawdę, nie umiem sobie tego wyobrazić. Ale właśnie w chwili, gdy ratownicy medyczni wyciągali tatę z kupy złomu, przyszedłem na świat. Bo mama już rankiem tego dnia zgłosiła się do szpitala z powodu zbliżającego się terminu porodu.

„Natura nie lubi próżni” – powiedziała wtedy babcia Kądzielowa. To może było mało taktowne, ale pasowało do sytuacji.

Mama musiała być prawdziwą twardzielką, bo się nie załamała, kiedy powiedziano jej o tacie. Z tego powodu babcia Mieczowa zawsze miała

do niej pretensje. Naprawdę nie wiem, czego się spodziewała. Może tego, że mama popadnie w depresję albo zrobi coś strasznego. Ale mama miała dla kogo żyć. Tym kimś oczywiście byłem ja.

Po tacie, którego znałem tylko z fotografii i wycinków prasowych, odziedziczyłem imię i charakter. I pasję do samochodów. Kolekcjonowałem matchboksy, starannie odrysowywałem modele z katalogów i – być może mama to zmyśliła – bawiłem się w kierowanie autem, to znaczy siadałem na stołeczku, trzymałem pokrywkę od patelni, a obok stawiałem przepychaczkę do zlewu i udawałem, że zmieniam biegi.

Kiedy podrosłem, wujek sprezentował mi auto na pedały i mogłem jeździć po podwórku, a potem coraz częściej zaglądałem do warsztatu, gdzie moja mama zajmowała się naprawą samochodów.

Tak sobie kiedyś zaplanowali z tatą, że gdy skończą karierę rajdową, to razem poprowadzą warsztat. No i została z tym sama.

Z tego, co wiem, to wcale nie było jej lekko – z jednej strony dziecko, czyli ja, z drugiej strony babcia Mieczowa, która za wszelką cenę chciała zabrać mnie do siebie, i oczywiście, bo nie ma trzeciej ani czwartej strony, nasze Miasteczko.

Kto to widział, żeby baba naprawiała samochody. Ale najbliższy mechanik miał zakład w Mieście i odległe terminy. A mama cierpliwie czekała na klientów. Aż się doczekała. Trafiło na wójta z sąsiedniej wioski, któremu wymieniła szczęki hamulcowe (to znaczy nie wójtowi, a w jego pojeździe), i tak się zaczęło.

Oczywiście na samym końcu zaczęli się pojawiać ludzie z Miasteczka. I skończyły się żarty.

Gdy miałem osiem lat, mama już zatrudniała pracownika, a lokalsom nie przeszkadzało, że nie nosi krótkich włosów, jak większość kobiet w Miasteczku, że ma na ręce tatuaż – pięknie cieniowaną różę – i nadal pracuje w warsztacie, bo sam Dymitr nie dałby rady.

Dymitr przyjechał z Ukrainy, z Donbasu, gdzie była wojna, w której nie chciał dać się zabić.

Kiedy miałem dziesięć lat, moja mama chodziła w modnie podartych dżinsach i kupiła sobie motor. – Żeby ludzie mieli o czym gadać – stwierdziła babcia Mieczowa.

Gadali, ale niekoniecznie o tym. Tematem niekończących się rozmów był przede wszystkim Klub. Miejsce, w którym spotykały się kobiety z Miasteczka. Nie wszystkie oczywiście, ale część.

Klub mieścił się na tyłach warsztatu, w garażu, który należał kiedyś do taty.

Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że wszystkie mamy, które przychodziły do Klubu, były na coś ustawicznie wściekle. A kiedy wychodziły, to się uśmiechały.

Ale niespecjalnie mnie interesowało, co tam robiły, bo po pierwsze miałem swoje sprawy, a po drugie mama była dorosła. I ogarnięta. Nie to, co ojciec Draki, którego trzeba było pilnować. Sam byłem świadkiem, jak pogrążony w jakiejś lekturze niemal wpadł do rowu melioracyjnego. Wyhamowałem (akurat jechałem ze szkoły) tuż obok niego i mocno pociągnąłem go za rękaw.

– Niech pan uważa! – zawołałem.

Zatrzymał się, zamknął książkę i trochę zdziwiony podziękował za ostrzeżenie.

W sumie powinien był podziękować za uratowanie życia, bo jakby taka ciamajda wpadła do rowu, to mogłaby się utopić w tej odrobinie wody, która się tam zebrała po ostatnim deszczu. A żeby jeszcze wyciągnął z tego jakąś naukę. Ale nie, ledwie odjechałem, ponownie otworzył książkę. Oczywiście zaraz zadzwoniłem do Draki,

żeby była na bieżąco z tym, co robi jej ojciec, ale ta wcale się nie zdziwiła.

– Rok temu – powiedziała – zasnął w wannie. Też z książką. I gdyby nie to, że woda wystygła, toby tam leżał do rana. Pewnie dostałby zapalenia płuc albo co. I wiesz, co mi powiedział? – Dramatycznie zawiesiła głos. A ja pokręciłem głową, choć tego nie mogła zobaczyć. – Że na szczęście zdążył odłożyć książkę. I nie zamokła. Rozumiesz?

Tak. Nareszcie zrozumiałem, dlaczego na drzwiach łazienki Draka wywiesiła kartkę z napisem: „ZABRANIA SIĘ CZYTANIA W WANNIE!”.

Bardzo mnie to ubawiło, bo kto normalny czyta w takim miejscu. No, ale tata Draki był inny.

Moja matka nigdy nie czytała w wannie. W ogóle mało czytała, tylko kupowała audiobooki. Słuchała ich, malując paznokcie albo leżąc na sofie.

W tygodniu zamykała warsztat o piątej, a jeśli zdarzyło się coś pilnego albo trzeba było otworzyć w sobotę, bo pojawiła się jakaś niecierpiąca zwłoki naprawa, dzwoniła do Dymitra. Bo gdy była już po pracy, to z mechanika przeistaczała się w kobietę. Wolny czas miała starannie zaplanowany. Każdego dnia robiła coś innego i nie słyszałem, aby na cokolwiek narzekała.

W piątkowe, sobotnie i niedzielne wieczory działał Klub.

Niektórym musiał bardzo przeszkadzać, z niewiadomego dla mnie powodu, bo któregoś dnia ktoś nabazgrał na drzwiach czerwonym sprejem napis: KLUP, i jeszcze słowo, które się z tym rymowało (chyba już zgadliście jakie), ale matka tylko się uśmieła i nie zamalowała tego napisu. Wręcz przeciwnie, stwierdziła, że zastanawiała się nad odpowiednią nazwą i nic nie przychodziło jej do głowy, a tu proszę.

Babcia Kądzielowa (długo nie mogłem pojąć znaczenia „po mieczu” i „po kądzieli”) też narzekała na swoją córkę i w ten sposób niby miałem dwie babcie, a tak naprawdę to ich nie miałem wcale. Za to wspaniale dogadywałem się z prababcią, babcią Draki i dziadkiem Arta, więc nie odczuwałem specjalnego braku.

Fakt, w moim dzieciństwie nie było opowiadań przez babcię bajek ani sweterków dzierganych na drutach, zamiast kołysanek słuchałem kaszłących silników, ale nie narzekałem. Bo kiedy mama kończyła pracę, zabierała mnie na długie spacerunki do lasu i nad rzekę i zastanawiałem się,

kto to taki tata. Dopiero kiedy byłem starszy, mama opowiedziała mi o wszystkim i pokazała album, w którym były wycinki z gazet i zdjęcia.

No i tak poznałem swojego tatę.

Zacząłem żyć własnym życiem, kiedy skończyłem dziesięć lat, to znaczy stałem się na tyle dorosły, że nie trzeba było mnie odprowadzać do szkoły ani sprawdzać, czy odrobiłem lekcje. Oczywiście zawsze mogłem poprosić o pomoc, ale starałem się radzić sobie sam. Żeby nie wyrosła ze mnie taka ciamajda jak...

Często było mi po prostu szkoda Draki. Kiedy jej koleżanki gadały o ciuchach, Draka się zastanawiała, czy wystarczy im do pierwszego, bo chociaż jej ojciec całkiem nieźle zarabiał na tych językach starożytnych, to czasami zdarzało mu się zamówić książki za zawrotną sumę. I wtedy nie starczało na chleb. Oczywiście to nie trwało długo, ale kosztowało moją kumpelę sporo nerwów.

Draka była twarda i często myślałem, że jest podobna do mojej matki, że prędzej umrze, niż się przyzna, że cierpi. Bo Draka z pewnością cierpiała. Ale nie dawała po sobie poznać, że coś było z nią nie tak. Tylko raz zdarzyło jej się powiedzieć, że chętnie oddałaby swojego starego do adopcji.

Ale do sprawdzonego domu. I jakoś tak dziwnie na mnie spojrzała.

Miałem wrażenie, że w naszej paczce tylko ja i Draka mamy pogięte życiorysy, ale tego lata nagle i niespodziewanie okazało się, że i Art ma poważny problem. O czym doinformowała nas... Policjanna. Bo matka Arta zadzwoniła do jej matki i poprosiła o przysługę. A gdy kobieta prosi kobietę o przysługę, to musi chodzić o coś bardzo osobistego. I od tego wszystko się zaczęło.